

CZERWONA OBERŻA

PROLOG

Był sam na tym świecie. Dawno opuścił przyjazne strony. Skłamałby, gdyby rzekł, że żywot wędrowca jest mu niemiły. Lubił sam decydować o tym, gdzie będzie spał i w którą stronę poniosą go nogi. Miał 28 lat i wiele już widział – częściej zła, rzadziej dobra. Ludzie nie zasługiwali na jego talent. Zamieszkał w rondlu, który choć już mocno sfatygowany, nadal dobrze mu służył. W powietrze wzbil się nieziemski aromat. Woń mięsa mieszała się z intensywnym zapachem grzybów, które suszył na słońcu już od kilku dni.

Garść świeżo zerwanych owoców jałowca wylądowała w bulgocącej potrawce z królika.

– Jeszcze chwila i będzie gotowe – mruknął do siebie.

Nawyk wypowiadania myśli na głos czasami był kłopotliwy, ale siedząc na wzgórzu, Daniel doskonale wiedział, że nikt nie może go usłyszeć. Dostrzegł, co prawda, niewyraźny kształt na drodze z miasta, które majaczyło w oddali niczym narośl na niewielkim wzniesieniu. Postać zmierzała do oberży. Z tej odległości gospoda była nie większa niż kamień, o który opierał plecy. Trudno więc było dostrzec, czy to mężczyzna czy kobieta. Jutro się dowie. Oberża stanowiła punkt, do którego zmierzał. Nie był to specjalnie przemyślany wybór.

– Wyśpię się na posłaniu. Matka ziemia nie traktuje mnie wyrozumiale – zaśmiał się niewesoło na wspomnienie zbyt wielu nocy spędzonych na twardym, przenikliwie zimnym łożu z gałęzi. Nieprzyjemne uczucie odrętwienia przeszywało jego ciało każdego ranka, kiedy rozcierał obolałe mięśnie. – Zobaczmy, kto mieszka w tej, pożałuj Boże, oberży.

Daniel zmarszczył czoło. Dłuższą chwilę bił się z myślami. Ostatnim razem nie było warto. Sposepniał. Lubił obserwować, jak ludzie się zmieniają. Z każdym kęsem stawali się życzliwsi, spokojniejsi, piękniejsi. To był sens jego życia. Karmić.

– A ona co? – sapnął oberżysta, podnosząc się z kolan na widok żony wracającej z miasta. W dwie godziny po tym, jak poszła załatwić sprawunki. Zaciekawiony, po co oberżystka wraca tak szybko, stał wyprostowany przy płocie, w którym właśnie wymienił spróchniałą sztachetę. – Trza by było wszystkie nowe – mruknął do siebie i podrapał się w czubek głowy, jak to nieraz miał w zwyczaju robić w chwilach wielkiego namysłu. Kropla potu ściekła mu z

czoła i wyparowała, zanim dotknęła ziemi. Od kilku dni niemiłosierny upał barwił trawę na brązowo i zatrzymywał powietrze w miejscu.

Oberżystka zbliżała się spiesznym krokiem. Prawie biegła, wznecając przy każdym kroku małe tornada kurzu.

– Co za licho ją goni? Postradała zmysły? – Oberżysta, zniecierpliwiony czekaniem, wyszedł na spotkanie żony. Ta, gdy go tylko dostrzegła, jeszcze przyspieszyła kroku i całkowicie już zdyszana wpadła na męża. Uwiesiła się na jego ramieniu i bliska omdlenia wycharczała:

– Oni tam umierają.

– Jacy oni? Gdzie?

– Tam, w mieście. Zaraza.

– Mówże kobieto, co żeś widziała!

Oberżystka zaczerpnęła haust powietrza i na jednym wydechu powiedziała:

– Straszne męki, smród, padają w domach, w pierwszej chwili straszliwie... radzili uciekać i nie wchodzić do miasta, póki nie minie... od tygodnia źle się dzieje... czerwona śmierć – mówią. Ci, co mają umrzeć, krew wypróżniają. Tak często, że nie mają sił. Chorzy młodzi, starzy, dzieci... Hans, nawet dzieci... – Bliska łez ukryła twarz w dłoniach.

– No już cichaj... Ciiii – mówił jak do dziecka. Wiedział, że to jedyny sposób, żeby ją uspokoić i skłonić do dalszego mówienia. Lekko pchnął oberżystkę w stronę drzwi. – Trza Ci odpocząć. Ziół zaparzę, wypijesz, poleżysz i opowiesz spokojnie. Albo pójdę sam zobaczyć.

– Nie, Hans, nie idź tam! Zamknij oberżę i nikogo nie wpuszczaj. Może nas ominie.

– Co ty, kobieto, gadasz? Jak ominie? – wysyczał oberżysta, całkiem już tracąc cierpliwość. Widząc przerażone oczy żony, szybko się jednak opanował i uspakajającym tonem dodał: – No, skoro to zaraza, mówisz, to trza zamknąć. A teraz połóż się i odpocznij.

Oberżysta poprowadził żonę do izby. Chłód uderzył w nich już od progu, przyprowadzając o zawroty głowy. Było to ich miejsce odpoczynku. Duże łóżko i ani jednego okna, przez które mogłyby się dostać promienie słońca.

– Wygodnie Ci? – miękko zapytał żonę, siadając na brzegu łóżka.

– Tak, tylko zapomnieć nie mogę...

– Poleż, ziół zaparzę. – Podniósł się, popatrzył jeszcze chwilę na żonę i szybkim krokiem wyszedł z izby.

Kiedy wrócił z naparem, pot rosił czoło oberżystki jak w największej gorączce. Otarł go rękawem koszuli, który zabarwił się rdzawo. Łamiącym się z trwogi głosem kobieta opowiedziała mężowi, co widziała za murami miasta. Długo nie mogła się uspokoić, ale w końcu senność wywołana naparem z korzenia kozłka zwyciężyła i oberżystka zasnęła. Oberżysta pogrążył się w myślach. Choć zawierzał żonie we wszystkich sprawach, myśl, czy to, co usłyszał, jest prawdą, nie dawała mu spokoju jak natrętna mucha. Gdyby nie podniesiony głos

Mateusza, pewnikiem siedziałby tak obok śpiącej żony jeszcze przez kilka kwadransów.

– Kogo tu diabeł przysłał? – Bezwiednie podrapał się po głowie i ruszył w stronę drzwi. Mateusz na czas uskoczył pod ścianę, inaczej oberżysta zwałiby go z nóg.

– Z kimżeś gadał?

– Do Krakowa jedzie, na targ. O nocleg prosi i owies dla konia.

Przed oberżą na umęczonym karym koniu siedział niewysoki tęgi mężczyzna, najwidoczniej kupiec.

– Nic tu po was, panie. Zaraza w mieście, żona widziała. Straszne rzeczy. Ludzie krwią srają. Miasto lepiej omijać.

Kupiec przez chwilę uważnie przyglądał się oberżystce, badając spojrzeniem, czy aby na pewno z niego nie drwi. Twarz oberżysty trudno było nazwać przystojną, a nawet zwyczajną. Ogorzała od słońca, nalana, z dwoma, nie trzema, jak szybko zliczył, podbródkami. Ciężkie powieki wydawały się przygniatać oczy, przez co te nabierały niepokojącego kształtu. Jakby ktoś nadepnął żabę. Na tę myśl na twarzy kupca na krótką chwilę zamajaczył lekki uśmiech, którego patrzący w kierunku miasta oberżysta nie mógł zauważyć.

– Zaraza powiadacie. Dajże owsa, a mnie coś do picia, gospodarzu.

– Mateusz, słyszałeś. – Oberżysta zwrócił się do służącego.

Mateusz tylko skinął głową i już go nie było. Po chwili wrócił z obrokiem przerzuconym przez ramię i kuflem napełnionym po brzegi niezbyt chłodnym piwem. Na ten widok zwierzę wyraźnie się ożywiło. Mateusz podał oberżystce kufel i podszedł do konia.

– Piękne zwierzę – powiedział cicho, poklepał konia i cmokając pogłodził jego pysk.

– Dokąd zmierzacie? – wysapał Oberżysta, podając podróżnemu kufel, po czym wyrzucił ramię, nieokreślonym ruchem wskazując horyzont.

– Do Krakowa, na targ. Sukno targować.

– Daleka droga.

Kupiec tylko pokiwał głową. Wiedział, że jeśli teraz nie zrobi przerwy, jego koń może nie wytrzymać kolejnego forsownego dnia. Wolał jednak nie kusić losu.

– Zaryzykuję. Byle dalej od tego przeklętego miejsca. – Splunął przed siebie. – Bóg wam zapłać. – Otarł rękawem mokre wąsy, podziękował za owies i już dosiadając konia, rzekł: – Wam też radzę czym prędzej wyruszyć. Zaraza nie wie, co to mury.

Potem zebrał wodze, a kiedy cmoknął, koń ruszył kłusem.

Kasieńka stanęła w drzwiach dokładnie w chwili, gdy nieznajomy oddalał się w przeciwną stronę, byle ominąć jak najszerszym łukiem zarażone miasto.

– Tato, co to wszystko znaczy?

– Nic dziecko. Idź do matki. Gdyby czegoś trza jej było, to przynieś.

– Mateusz! Bydło zgonim – krzyknął w stronę służącego, kucharza i parobka w jednej osobie.

Nikt nie zauważył w oddali samotnej postaci, która zmierzała w stronę oberży.

Słońce stało wysoko na niebie. Ta pora dnia nie sprzyjała wędrowcom. Tumany kurzu i piasku wznosiły się przy każdym kroku, drażniąc nozdrza i wysuszając płuca. Zejście ze wzgórza zajęło mu zbyt wiele czasu. Karcił się za to w myślach.

– Nim tam dotrę, będzie dobrze po obiedzie – mrucał i obmyślał, czym oczaruje mieszkańców oberży. – Brazelle wołowe, kurczę z wątróbką, a może węgorz z miodownikiem? Oberżysta pewnie lubi sobie pojeść. Nieraz już widziałem.

Kątem oka uchwycił ruch w zaroślach. Przystanął. Nasłuchiwał. Zdążył się już przekonać, że wzrok nie nadąża za słuchem, a ten za węchem. Zamknął oczy. Pod powieki od razu wwierciła mu się bolesna, czerwona smuga, ale po chwili czuł wszystko bardzo wyraźnie. Podmuchał wiatru, promienie słońca na skórze, suchość traw, bagienną woń lasu. Szelest wydawał się promieniować niczym kręgi na wodzie, kiedy wrzuci się do niej kamień. Odgłosy wskazywały na małą gromadkę.

– Wróć po was – zaśmiał się krótko i ruszył w dalszą drogę. Do oberży było już niedaleko, jednak kroki Daniela spowalniała jednostajność krajobrazu. Po stronie serca w oddali majaczył las. Drogę, którą Daniel wędrował, z obu stron porastały wysokie trawy, uginające się miękko przy każdym mocniejszym podmuchu wiatru, ścieląc się niczym olbrzymie łoże. Widok ten działał hipnotyzująco. Daniel przystanął i wpatrywał się w uległe trawy i ich dziwny taniec. Otrząsnął się, kiedy wiatr zelżał na tyle, aby wyprostowane źdźbła na powrót dawały schronienie mieszkającemu tam ptactwu. W drodze do oberży nie spotkał żywego ducha.

Stanął przed karczmą, wahając się, czy aby na pewno dobrze robi. Drewniana oberża na pierwszy rzut oka wyglądała solidnie. Czyste obejście wskazywało na pracowitą gospodynię. Na słońcu suszyło się pranie. Białe obrusy, koszule i bielizna, na której zatrzymał wzrok nieco dłużej, niż by wypadało.

– Matka i córka – mruknął do siebie zadowolony.

Skrzypnięcie drzwi oderwało jego myśli od mieszkańek oberży. Zanim jeszcze oberżysta otworzył usta, Daniel przystąpił do niego i dwornym gestem ukłonił się nisko.

– Daniel Ross do usług mości pana. Noclegu szukam.

– U nas nie znajdziesz. Zaraza wkoło.

Pytające spojrzenie Daniela skłoniło oberżystę do dalszych wyjaśnień.

– Za murami miasta ludzie krwią srają. Męczą się niemożliwie. Żona widziała. W mieście była. Trza nam przeczekać.

– Trza wam kucharza. – Daniel uśmiechnął się szeroko. – Do usług.

– Po co nam kucharz? Gości nie przyjmujemy. Mateusz w garach miesza.

– A potrzeba mości panie. Kucharza, co wie, jak zarazy uniknąć. – I nie czekając, aż oberżysta ponownie mu przerwie, wyrzucił z siebie: – Tak, panie, zaraza przez wodę i pożywienie się niesie. Daj mi gotować za dach nad głową, a zaraza do was nie przyjdzie. Kucharzem dworskim byłem, wiem swoje. – Ostatnie zdanie wypowiedział nieco ciszej, z dziwnie ponurą miną, jakby wspomnienie minionych lat było mu niemiłe.

Słońce prażyło i przypiekało skórę, ale Daniel zaledwie to zauważał. Jego ogorzałe od promieni ciało zbrązowiło i zobojętniało. Dawniej, kiedy rozpoczynał swoją wędrówkę, skóra złaziła z niego jak z węża – płatami, odsłaniając żywe, różowe warstwy, które chronił przed słońcem, okładając liśćmi babki.

Oberżysta myślał. Marszczył czoło i drapał się po głowie. Przewiercał Daniela wzrokiem, aż wreszcie zapytał.

– Co masz w worku?

– Patelnie, rondel, noże, wnyki – wyliczał Daniel, zdejmując worek z pleców i rozwiązując węzeł. – Trochę grzybów, zioła, i owoce jałowca. Dziś rwałem. – Rozchylił worek w stronę oberżysty, żeby ten mógł sprawdzić. Oberżysta zaglądał do worka dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i już zza drzwi rzucił:

– Poczekaj no tutaj.

Daniel patrzył, jak potężny mężczyzna znika za drzwiami. Powoli zawiązał worek i zarzucił go na ramię. Rosnący nieopodal dąb dawał sporo cienia, w którym Daniel z ulgą schronił się przed ostrym słońcem. Tymczasem Oberżysta od wejścia zawołał do Katarzyny:

– Pomóż no Mateuszowi kozy doić!

Kasia skinęła głową. Poglądziła jeszcze matkę po dłoni i ruszyła posłusznie do drzwi. Wybiegając na podwórze, nie spojrzała w stronę dębu, gdzie siedział nieznajomy i bacznie się jej przyglądał.

Oberżysta poczekał, aż córka się oddali i dopiero wtedy, gdy miał pewność, że nic nie usłyszy, odezwał się do żony:

– Mamy gościa.

Na te słowa oberżystka usiadła gwałtownie na łóżku.

– Spokojnie, to nikt z miasta. Kucharz o imieniu Daniel prosi o nocleg...
Wie, jak uniknąć zarazy – dodał i utkwiał wzrok w podłodze.

– Wie? – spytała z niedowierzaniem oberżystka. – Skąd?

– Nie pytałem. Mówi, że jedzenie i woda są zarażone.

Jak na komendę oboje spojrzeli na puste naczynie, w którym całkiem niedawno znajdował się kojący nerwy napar.

– Niech zostanie – szepnęła kobieta i osunęła się na posłanie.

Oberżysta popatrzył na nią smutno.

– Wszystko będzie dobrze. – I choć bardzo się starał, nie zdołał ukryć troski w głosie.

Gdy tylko Daniel zobaczył oberżystę w drzwiach, poderwał się na nogi i szybko otrzepał ubranie. Wyszedł z chłodnego cienia wprost w nieznośny upał. Zamrugał szybko, żeby pozbyć się denerwujących mroczków.

– Może zostać – rzucił w jego stronę oberżysta.

Daniel uśmiechnął się szeroko do pleców mężczyzny, który już zdążył odwrócić się na pięcie i przestąpić z powrotem próg.

– Dziękuję mości... – Nie zdołał dokończyć, bo oberżysta ruchem ręki nakazał mu udać się za sobą. Szybko doszli do drzwi dzielących pomieszczenia sypialniane od kuchni.

– Tutaj będziesz gotował. – Oberżysta wskazał obszerną izbę z wielkim piecem, ławami i sporą ilością wiklinowych koszy wypełnionych bulwami i zbożem.

Daniel rozejrzał się po wnętrzu, rejestrując najdrobniejsze szczegóły. Sposób prowadzenia kuchni dużo mu powiedział o obecnym kucharzu. Przypalone i niedoczyszczone rondle, porozrzucane obierki, czosnek związany byle jak, wieko skrzyni znaczone muszymi odchodami i choć nie było widać wyraźnego brudu, czuć go było w powietrzu na tyle wyraźnie, żeby wywołać grymas niezadowolenia na twarzy Daniela. Kiedy lustrował kuchnię, oberżysta nie odrywał od niego wzroku. Mateusz wszedł bez przywitania. Niósł skopek koziego mleka, z którego na podłogę cienką strużką ciekł przezroczyście-biały płyn. Za nim niespiesznie szła Katarzyna. Na widok nieznanego zatrzymała się w drzwiach.

– To nasz nowy kucharz. – Oberżysta bez zbędnego wstępu przedstawił Daniela. – Zostanie z nami, ile będzie trza.

Daniel skinął głową, patrząc w stronę Katarzyny. „Urodziwa nie jest. Podobna do ojca” – przemknęło mu przez myśl. „Młoda jeszcze. Może piękno dopiero się w niej obudzi?”

– To jest Katarzyna, moja córka. A to Mateusz. Zajmuje się... – Oberżysta zawahał się przez chwilę. – No, wszystkim się zajmuje. – Potem odwrócił się do Mateusza i dodał: – Dziś to on przygotowuje kolację. Dopilnuj, żeby nam smakowało. – Po czym wyszedł, mijając w drzwiach córkę, która z wyraźnym trudem oderwała wzrok od przybysza.

– Skąd czerpicie wodę? – Pytanie Daniela przerwało niezręczną ciszę. I choć wyraźnie skierował je do Mateusza, odpowiedziała Katarzyna.

– Ze studni.

Daniel odwrócił głowę w stronę dziewczyny. Zaskoczyła go swoją śmiałą odpowiedzią, a jej przestraszona mina dodatkowo go rozbawiła.

– Dobrze. Potrzebuję wiadro świeżej wody. Przyda się też pomoc.

Mateusz schylił się po wysłużone wiadro i wyszedł bez słowa.

– Jak Cię zwą? – zapytała córka oberżysty, nie spuszczając zeń oczu.

– Daniel. A Ty jesteś Kasia, prawda? – Twarz dziewczyny oblała się rumieńcem. – Pomożesz mi z tym? – Wskazał ręką pomieszczenie.

Dziewczyna energicznie pokiwała głową. Zabrali się do pracy. Kasia okazała się bardzo pomocna. Kiedy Daniel przeglądał zgromadzone zapasy, wymyła ławy, wymiotła kurz i pajęczyny z zakamarków. Mateusz jeszcze dwukrotnie przynosił wodę, ale przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Za to Kasi buzia się nie zamykała. Opowiadała przybyszowi o życiu w oberży, o matce, ojcu, gościach, którzy zostawali raz krócej, raz dłużej. Daniel nie przerywał młodzieńczego szczebiotu, ale też nie słuchał zbyt uważnie. Pochłonęło go przygotowywanie kolacji.

Nie czuł głodu. Próbował, smakował, sprawdzał, czy smaki odpowiednio się przenikają, ale odkąd pamięta, nie odczuwał tego podniecenia na myśl o spróbowaniu cudownie pachnącego dania. Po ostatnim razie, kiedy zasłabł z głodu, postanowił sobie, że choć raz dziennie zje gorący posiłek. Teraz, kiedy wszystko już było gotowe, wystarczyło zmusić się do włożenia kawałeczka mięsa do ust, przeżucia go i połknięcia. „To przecież nic takiego” – pomyślał i zamieszał w garnku. Zastanawiał się, jak będą smakowały jego potrawy z glinianych misek, które Mateusz właśnie kończył czyścić na jego polecenie. Do tej pory podawał na porcelanie, tak pięknej i kruchej, że samo patrzenie mogło zarysować jej powierzchnię. „Zyskają nowy wymiar” – myślał, mając nadzieję, że tak się stanie. Chciał zaskoczyć gospodarzy i tym jednym posiłkiem pozbawić ich wszelkich wątpliwości co do jego osoby. „Jeśli mi zaufają, będzie łatwiej. Oberżysta jest zbyt podejrzliwy, i ten Mateusz kręcący się ciągle po kuchni... Wtyka nos do każdego garnka.” Brak cierpliwości do ludzi zawsze był jego słabą stroną. Chciał gotować, a nie zajmować się takimi błahostkami jak rozmowy. Inni byli mu potrzebni do próbowania jego dań, do niczego więcej.

– Czas podawać – mruknął i skupił się na nakładaniu dań.

Katarzyna zajęła się przygotowaniem stołu. Mateusz poszedł po oberżystę. Oberżystka nie czuła się na siłach opuszczać izby i swojego łóżka.

– Toż to jak u szlachcica jakiego! – zakrzyknął oberżysta na widok nakrytego stołu. Od razu wyczuł w powietrzu smaczne aromaty i poczuł, że głód ścisnął mu nieprzyjemnie wewnątrz. – Matka nie będzie jeść dziś z nami. Nie czuje się najlepiej.

– Zaniose jej jedzenie. – Katarzyna wstała od stołu i chwyciła gorącą miskę. O mały włos, a wylałby zawartość na klepisko, ale w porę udało jej się odstawić naczynie.

– Ja pójdę – mruknął Mateusz i wyszedł, nie czekając na pozwolenie.

Daniel postawił przed oberżystą miskę pełną mięsa i sosu. Zanim zdążył usiąść, oberżysta pakował do ust kolejną łyżkę, dając tym samym sygnał, żeby inni poszli w jego ślady. Pierwsza odważyła się Katarzyna. Prawie bezwiednie podniosła łyżkę do ust. Najpierw to wyczuła, a kubki smakowe potwierdziły informację o niezwykłym smaku, który przyprawił ją o gęsią skórkę. Spojrzała na Daniela, jakby pierwszy raz go widziała. Kędzierzawe blond włosy opadały zawadiacko na czoło, a niebieskie oczy patrzyły śmiało. Dziewczyna podążyła wzrokiem za spojrzeniem Daniela. Zobaczyła swojego ojca, który szybkimi

ruchami pakował do ust smakowite danie, nie zważając na nadmiar sosu, który obfitymi strużkami spływał mu po brodzie wprost na koszulę. Oberżysta zjadł całe mięso i zanurzył palce w sosie, którego resztki przywarły do ścianek naczynia. Oblizywał je łapczywie, jeden po drugim, sięgał językiem w rozwidlenia palców, żeby nie uronić ani jednej kropli.

Nikt nie usłyszał, kiedy do izby wszedł Mateusz.

– Co to za jedzenie? – rzucił w powietrze.

Dwie pary pytających oczu skierowały się wprost na niego. Oberżysta nawet nie podniósł wzroku, był w innym świecie, gdzie oprócz smaku inne zmysły nie miały wstępu.

– Ogon wołowy w otrzewnej na pasztecie piernikowym z kompresowaną cukinią w occie z czarnego bzu i sosny – wyrecytował Daniel. – Smakowało?

– Oberżystka spróbowała i jakby piorun ją raził, usiadła na łóżku wyprostowana i tylko wielkie oczy na mnie robiła.

Daniel uśmiechnął się szeroko. Był w domu.